

ŁUKASZ RAZOWSKI

ON

CZŁOWIEK, KTÓRY
PRZYBYŁ W GÓRY

Łukasz Razowski

On. Człowiek, który przybył w góry

Wydawnictwo Agrafka 2024



ISBN 978-83-67981-03-3



SPIS TREŚCI

I	9
II.	18
III	37
IV	53
V.	70
VI	85
VII.	95
VIII	105
IX	126
X.	137
XI	147
XII.	177
XIII	185
XIV	198
XV.	210
XVI	218
XVII.	229
EPILOG	235

Teraz to już nieważne, czy wyszedł w góry zbyt późno. Grunt, że w schronisku na Ornaku był wtedy, gdy za szczytami Tatr zachodziło słońce. Blask krwistokarmazynowego cienia spowijał niedalekie Czerwone Wierchy. Wieczór był cudowny. Właśnie taki, jaki jesienią przyciąga tych, którzy góry kochają nad życie.

Nie wiedział, jak szybko zrobi się ciemno. Skąd miał wiedzieć? Zaledwie wczoraj przyjechał do Zakopanego i jedyne, co zdążył zrobić, to zostawić walizkę na kwaterze. Wiedziony informacjami z folderów, które zebrał jeszcze w Krakowie, od razu założył tenisówki i ruszył w trasę.

Nie mógł się doczekać tej wyprawy. Dużo się o Tatrach naczytał. O tym, jakie to mistyczne, na wskroś polskie góry, majestatyczne szczyty, szlaki pełne turystów i dziewicza, niedostępna, surowa, prawdziwa natura w środku Europy. Dla tej natury, dla tego utęsknionego poczucia braku cywilizacji przyjechał tu aż z Wielkiej Brytanii.

Dlaczego właśnie do Polski? Dlaczego nie w Alpy, Pireneje czy na Słowację, gdzie było choćby taniej, a drogi wydawały się lepsze? Trochę się tego wstydził, ale przecież każdy tak ma, że ciągnie go, nawet podświadomie, do kraju, w którym się urodził, w którym się wychował.

Co prawda wszyscy znajomi i przyjaciele wyjechali na Wyspy razem z nim podczas pierwszej narodowej fali emigracji, a w kraju pozostali tylko rodzice, których i tak, wracając do siebie (tak teraz mówił o kraju, który go przygarnął, dał pracę, dom i stabilizację), zabierze ze sobą. Opierali się nieśmiało, ale po latach nędzy zrozumieli, że lepiej być przy przyszłych wnukach z pełnym portfelem, niż klepać biedę dla zasady w tak zwanej Ojczyźnie. Co więcej, miał już dla nich nagraną robotę – dla mamy jako niania, dla taty jako stróż. Zarobią więcej niż lekarze tracący życie na siedemnastogodzinnych dyżurach nad Wisłą.

Mimo wszystko właśnie w polskich Tatrach postanowił spędzić samotne wakacje, odpocząć od pracy i zgiełku dużego miasta. Tym bardziej że ceny w Polsce były śmieszne... Zarabiał w funtach.

Za cel pierwszej wycieczki obrał Dolinę Chochołowską. Chyba najslynniejszą. Podobało mu się tutaj. W wysokie góry nie miał siły iść, ponieważ na co dzień zbyt dużo siedział za biurkiem. Poza tym dojście do schroniska i wypicie kilku piw było dla niego bardziej atrakcyjne niż żmudne wspinanie się po stromiznach. No i te turystki, non stop kręcące się koło drewnianych zabudowań schroniska ukrytego w sercu dzikiej przyrody, które siedząc na trawie i sącząc piwo, mógł z dość interesującej perspektywy obserwować... O tak, Tatry to urokliwe góry – powtarzał sobie raz po raz wielce rad z siebie i pomysłu, by tu przybyć.

Drugiego dnia jednak zaspał na kwaterze. Przyczyną tego były odwiedziny dwóch amateerek wrażeń szczytowych, które postanowiły osobiście sprawdzić, czy w zajmowanym przez niego pokoju znajduje się tak wygodne łóżko, jak to zachwalał. Pochodziły z Łomży. A przynajmniej tak mówiły. Nie miał powodu, by nie wierzyć. Zresztą i tak go to mało obchodziło, nawet nie wiedział, że takie miasto w ogóle istnieje. Interesowały go w owych towarzyszkach wypoczynku inne zgoła sprawy i zjawiska niż pochodzenie. Tego dnia w góry wyruszył dopie-

ro późnym popołudniem. Wypił piwko na kaca i tym razem wkroczył w Dolinę Kościeliską. Gdy pokonywał drogę w głąb najwyższych gór w kraju, nie było jeszcze ciemno. Słońce zaszło, gdy w schronisku na Ornaku kończył czwarte piwo. Zaplanował jeszcze jedno i postanowił wracać do miasta. Koleżanki z Łomży miały na niego czekać na Kru-pówkach. Noc czekała na podbój.

– Halo, halo! – Usłyszał głos zza recepcyjnej lady, gdy niezgrabnie zarzucał na siebie plecak z zamiarem opuszczenia schroniska po wypiciu rzeczonoego piątego browara. – Gdzie się pan wybiera?

Całkiem ładna góralka z orlim, ale sympatycznym nosem ciekawie spoglądała na niego zza drewnianego wytartego kontuaru.

– Jak to gdzie? Do domu. Znaczy na kwaterę, do Zakopanego – odparł zdziwiony nagłym zainteresowaniem pracownicy schroniska. Rad był przy tym niezmiernie, bo już wcześniej dziewczyna wpadła mu w oko. Jak wiele innych szwendających się w okolicy.

– O tej porze? Noc idzie – stwierdziła recepcjonistka. Wydawać by się mogło, że mówi poważnie.

– To tylko godzina drogi, szybko przejdę – rzucił i ruszył w stronę wyjścia niczym macho opuszczający saloon po niezłej, aczkolwiek wygranej bójce z miejscowymi łobuziakami.

– Nie znasz gór – krzyknęła za nim góralka. – Tu jest naprawdę ciemno. Kup lepiej czółówkę albo weź moją, nie chcę mieć cię na sumieniu, jak zabłądzisz. A pewnie zabłądzisz, skoro chcesz iść bez światła.

Popatrzył na nią przez chwilę, rzucił okiem na szarzejącą, powoli odchodzącą w mrok rzeczywistość hali i przytaknął. Wziął najtańszą czółówkę i dodatkowe baterie. Przynajmniej będzie miał nietypową pamiątkę. Pochwali się przyjaciółom na Wyspach, jaki to z niego wielki i odważny globtroter, zdobywca dziewiczych terenów. I nie tylko terenów. Poczuł się jak prawdziwy podróżnik.

– Kiedy będziesz w mieście? – spytał.

– Ciebie już w nim nie będzie – uśmiechnęła się góralka i poszła przygotowywać kolację dla tych turystów, którzy dla odmiany postanowili przenocować w samym centrum Tatr.

Wzruszył ramionami, ale odwzajemnił uśmiech. Nie ta, to inna. Dziś się w planie wszak Krupówki. Oj, będzie się działo, będzie – pocieszał się w duchu. Wczoraj łatwo mu poszło z poderwaniem dwóch spragnionych nocnych wrażeń łomżanek. Dziś też zapowiada się upojna noc bez zobowiązań.

Gdy ruszał w powrotną drogę, na hali było jeszcze widno, choć kolory raczkującej jesieni znacznie już poblakły. Po kilkudziesięciu metrach wszedł w leśny tunel. W duchu przyznał góralce rację – było cholernie ciemno i z każdym krokiem robiło się ciemniej. Założył czołówkę. Nawet udało mu się ją uruchomić. Świetliste koło od razu pojawiło się na ścieżce metr przed nim, oświetlając wszelkie nierówności tatrzańskiego szlaku. Trochę go zataczało, w końcu był po spożyciu dobrej dawki piwa. A nie było to piwo takie jak w Anglii. Polskie piwo jest mocniejsze.

Jednak mimo lekkiego stanu nieważkości szedł dalej. Powoli, ale szedł.

Na otaczającym go świecie robiło się coraz ciemniej. Dookoła, co uświadomił sobie po jakimś czasie, nie było ludzi. To była nowość. Tatry z reguły są niezwykle zatłoczone. Zdziwił się, że po zmroku nie ma nikogo. Pewnie wszyscy już się bawią na Krupówkach – pomyślał wesoło.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Dziwne uczucie. Może to monotonne tupanie? Słyszeć tylko jego kroki, oddech i... a tak, ciągły szmer pobliskiego potoku. Raz mocniejszy, raz słabszy, ale cały czas jego zmysłom towarzyszyły szumiące hektolitry świeżej górskiej wody płynącej z gór w stronę Bałtyku.

Monotonny krok, ciężki oddech, gęsta, wszędobylska ciemność lepiąca się do każdego nikinącego kształtu i okrąg światła pod nogami. Zgasił na chwile czołówkę. Wszystko zniknęło.

Tylko szuuuuuuuummmmmmm potoku.

Przeszły go ciarki. Włączył światło z powrotem, a blask poraził jego oczy. Westchnął i ruszył dalej do przodu.

Po jakimś czasie dotarł do polany. Pamiętał, jak tędy przechodził tędy kilka godzin temu. Polana była wtedy pełna roześmianych turystów. Dzieci biegały, dorośli leżeli i jedli kanapki, parę osób moczyło nogi w lodowatym potoku.

Teraz królowała tu czerń głębokiej nocy.

Podszedł do brzegu górskiej rzeczki i usiadł na kamieniu. Kondycji nie miał, więc w duchu po raz kolejny pogratulował sobie tego, że nie wpadł na pomysł, by wychodzić na wyższe partie gór.

Chyba by skonał...

Ponownie wyłączył lampkę. Lepka ciemność otuliła go swymi ramionami. Uszy rozsadzał potężny huk potoku. Jakie to dziwne – pomyślał. Jak jest ciemno i nie słyszać innych dźwięków, to potok grzmi jak burza... Straszny huk...

Było coś hipnotyzującego w tym stanie.

Może dlatego nie usłyszał, jak podchodzi. Tym bardziej nie zdążył go zauważyć.

Napastnik uderzył od tyłu, wrzucając go do rzeki. Jedyne, co usłyszał przed śmiercią, to groźny ryk podobny do śmiechu...

Nie zdążył też poczuć, jak jego ciało było brutalnie rozczłonkowane.

I

Gdyby Jeremiasz wiedział, że z dworca do miejsca tymczasowego zamieszkania jest ledwie pół kilometra, zapewne nie zamawiałby taksówki. Niestety, przyzwyczajenie z wielkiego miasta – na pewno większego – wzięło górę. W dużym mieście nigdzie nie jest blisko. Na co dzień, nigdzie poza wyjściem do pobliskiej knajpy na lunch, nie poruszał się pieszo. Zawsze albo metro, albo taksówka. Zastanawiał się, czy w Zakopanem jest metro. Ale chyba nie. W Polsce, o ile go pamięć nie myliła, jest tylko w Warszawie. O ile jedną linię i drugą, która regularnie się zapada, można nazwać metrem.

Jeremiasza zastanowił rachunek za kurs. Jak tylko wsiadł do samochodu, licznik wskazał dziesięć złotych. Dla niego nie było to dużo, ale niewiele więcej dał na lotnisku za paczkę papierosów. Szybkie przeliczenie wartości i wychodzi, że tanio nie jest. Za kurs zapłacił drugie tyle. Nie zdążył nawet poprawić koszuli w spodniach po tym, jak usadowił się na fotelu, gdy nieogolony, ale sympatyczny na pierwszy rzut oka kierowca kazał mu wysiadać. O, pardon. Uprzejmie poinformował, że oto nastąpił koniec podróży i wypada opuścić pojazd. Użył do tego jakże skutecznego i w swej prostocie właściwego słowa: „już!”.

Zapłacił i zrobił wedle zasugerowanego polecenia taksjarza – opuścił pojazd. Z bagażnika wyciągnął swoją jedyną torbę – sportową – i rozejrzał się dookoła. Gór nie było widać. Wszędzie panowała jakby mgła. Z drzew opadły ostatnie jesienne liście, lecz mimo to nie było zimno. A здаваło by się mogło, że zima tuż, tuż. Przynajmniej tutaj. W Krakowie jeszcze bywało zielono. I kolorowo.

Tu jest szaro – stwierdził bystro.

Oglądając foldery poświęcone miastu, nabrał przekonania, że wpadnie do malowniczej, zimowej stolicy gór. Póki co czuł się jak na planie „Jeźdźca bez głowy”.

Nie narzekał. Przynajmniej było klimatycznie.

Dopóki nie postawił pierwszego kroku w stronę kwatery. Włazł w wielką kałużę, a zimna nad wyraz woda, pomieszana z rzadkim błotem, wlała się do jego eleganckiego buta. Zdziwił się. Takie rzeczy i to w jednym z najślawniejszych w kraju kurortów? Piękny początek pobytu. Trzeba sobie przypomnieć, jak to jest patrzeć pod nogi.

Kupić górskie buty – pomyślał, uzupełniając listę najpilniejszych zakupów, jednocześnie z ciekawością przyglądając się uliczce dochodzącej do – jak mu zachwalał taksówkarz liczący zapewne na napiwek od zagranicznego turysty – reprezentacyjnej ulicy miasta. Była usiana kałużami. Buty, których na co dzień używał w Londynie, idą do kosza – zawyrokował. Na nic mu się tu nie przydadzą, wręcz przeciwnie, jeszcze połamię nogi. Trudno, będzie wyglądał nieelegancko, ale przecież nie przyjechał na salony do stolicy. Sądząc po obrazie, jaki przywitał go na dworcu i na tejże uliczce, wręcz przeciwnie. Co tu dużo mówić, na safari też z reguły nie chodzi się w garniturach. Poza tym to turystyczne miasto. Z młodości pamiętał, że żyli tu miłośnicy gór i kilku górali. Ani jedni, ani drudzy nie ubierali się elegancko. Tym lepiej. Zmieni odzienie i wtopi się w tłum.

Wyjął pomiętą kartkę z kieszeni spodni i porównał wypisany na niej adres z tym widniejącym na pobliskim bloku. Tak, to tutaj. Co więcej, okazało się, że klucz do domofonu pasował. Jeremiasz wszedł na klatkę schodową. Brudno nie było, ale i wewnątrz budynku nie wyglądało nazbyt elegancko. Jakiś dziwny, usychający chyba od kilku już lat kwiatek w rogu sufitu i ściany, obok mała, lecz zamieszкана pajęczyna, pozamiatana podłoga, choć z wyraźnymi śladami butów – ktoś przed chwilą wchodził i podobnie jak on prawdopodobnie zaliczył kałużę rozlaną przed wejściem.

Powoli zaczął wdrapywać się na czwarte piętro. Tam według wskazówek znajdować się miało jego tymczasowe lokum. Kawalerka. Ostatni raz w kawalerce mieszkał na studiach, wiele lat temu. Zaraz po tym, jak wyrzucili go z akademika za hodowanie nielegalnych zwierząt – prusaków. Co prawda prusaki faktycznie były, ale nie hodowlane, tylko dzikie. Do tej pory Jeremiasz, jak wspomni tamte dni, zastanawia się, co je przyciągało właśnie do ich pokoju, a nie do innych. Inne traktowały jedynie jako trasy tranzytowe. W kawalerce zaś mieszkał z dwoma kumplami, bo przecież studenci do bogatych nie należą. W kupie taniej. Był to ciekawy okres w życiu, choć de facto większości tego czasu nie pamiętał. Bynajmniej nie z powodu upływu nieubłaganie biegnącego czasu.

Po chwili mocowania się ze starym zamkiem, pamiętającym najprawdopodobniej czasy Jaruzelskiego, wkroczył na kwaterę, która miała być jego schronieniem, biurem i hotelem jednocześnie. No i zapewne czasami jadłodajnią czy też bardziej trafnie – śniadaniodajnią. Z tym że śniadania zapewne będzie musiał sobie robić sam, nikt mu ich nie poda.

Choć... kto wie...?

Łazienka nawet dobra. Muszla klozetowa, prysznic z głębokim brodzikiem, umywalka. Mały przedpokój, w którym od biedy zmieściłaby się nawet kopulująca dość szczelnie ze sobą para, ale troje ludzi już nie

bardzo, i pokój dzienny z wnęką na aneks kuchenny. W pokoju biurko, wersalka, szafa i półki na książki. Z okna widok na jakieś pola, łąki czy jak to tam nazwać, zieleniec z alejkami. Widać było też trochę gór. Prawdopodobnie, bo wszak było mgliście i gór nie było widać. Czuł jednak, że gdzieś tam są. Nie wyobrażał sobie – efekt foldera – nie mieszkać z widokiem na Tatry, nawet jeśli ich nie było widać zza chmur.

Ogólnie – wystarczające warunki. I tak nie planował zbyt często przebywać w tym mieszkaniu.

Zrobi swoje i do domu.

Zostawił bagaże w mieszkanku i wyszedł. Już pamiętał, by wychodząc z klatki schodowej, omijać kałuże. Patrząc pod nogi, wkroczył na Krupówki. Spodziewał się, że będzie pusto. Mylił się. Mimo że letni sezon turystyczny się skończył, a zimowy był dopiero przed mieszkańcami tego miasta, żyjącego bądź co bądź w rytm kalendarza urlopowego, na reprezentacyjnym deptaku było nawet sporo przechodniów.

Poczuł się jak w domu.

Jak w dużym mieście.

Jak w namiastce dużego miasta, na którego ulicach trzeba zręcznie się przepychać lub finezyjnie omijać współobywateli metropolii, aby zdążyć tam, gdzie zamierzało się dotrzeć. Podobno. Jeremiasz znał to ze słyszenia. Osobiście zawsze, jako się rzekło, korzystał z taksówek. W końcu firma płaciła, więc czemu miał się męczyć?

W pierwszym sklepie, który oferował towar znanych na Wyspach marek, kupił zimowe, sportowe buty. Zadowolony z brązowych, lekkich, lecz wyglądających na solidne traperów, postanowił zajrzeć do najbliższego pubu. Zawsze tak robił w nowych miejscach. W tym przypadku jednak nie ma co patrzeć na presponsorowane, mało miarodajne przewodniki, foldery, anonse. Pierwszy lepszy bar jest najlepszy, najmiłszy, najprzyjemniejszy. Taki, do którego się wraca. Nie wiedział,

dlaczego tak się dzieje, ale taka była prawda. Wielokrotnie się o tym przekonał. Ten dar nie opuszczał go od studiów.

Na szyldzie najbliższego baru widniał napis „Fortepiano”. Dziwna nazwa – pomyślał. Zupełnie nie góralska. W stolicy Tatr przecież wszystko miało być góralskie.

Zamówił piwo łamane – porter pół na pół z normalnym. Trochę się zdziwił, że takie tu znalazł, ale jednocześnie ucieszył się niezmiernie. Jednak Europa wdzieriała się i do jego ojczyzny. W końcu kiedyś musiała. Ileż można być opornym? Ale tak naprawdę ucieszyła go inna myśl – instynkt piwosza ponownie go nie zawiódł. Knajpa mu się podobała. Dwa połączone ze sobą pomieszczenia, a pośrodku gustowny bar, nieco przyczajony w rogu. Niskie stoliki à la akwaria z suszonymi kwiatami w środku podświetlone skrytymi przed oczyma gości lampkami. Ceglane mury uzupełnione elementami z drewna. Akcenty górskie, taternickie. Kominek. Zapach palonego drewna. Na zapleczu palarnia o wdzięcznej nazwie „komora gazowa”.

Kilka osób.

Lekki gwar.

Wieczorem pewnie jest tu pełno – pomyślał Jeremiasz, sadowiąc się przy jednym z wolnych stolików.

Odpalił komputer – małego notebooka, z którym zazwyczaj się nie rozstawał, zwłaszcza jak był w pracy. Albo udawał sam przed sobą, że pracuje. Taki swego rodzaju samogwałt.

Jednak zanim nacisnął klawisz startu maszyny piszącej, najpierw wziął duży łyk piwa. Poczuł zimno rozpierające goryczą jego wnętrzości. Poczuł uspokojenie. Teraz mógł się wziąć do pracy. Był niczym Popeye po zjedzeniu puszki szpinaku.

Wszedł na pierwszy portal informacyjny dotyczący regionu, który zaproponowała mu wyszukiwarka. Szukał tylko jednej informacji.

Znalazł ją na piątym miejscu od góry.

Tytuł krzyczał:

KOLEJNA ŚMIERĆ W TATRACH! ŚWIADKOWIE: TO BYŁ
WŚCIEKŁY NIEDŹWIEDŹ!

Świat odpląnął. Jeremiasz zagłębił się w słowie pisanym...

Już trzecie ciało w tym miesiącu znaleziono na tatrzańskich szlakach. Służby nabierają wody w usta i nie chcą zdradzić szczegółów śmierci turystów. Oficjalny komunikat brzmi – nieszczęśliwy wypadek. Świadkowie jednak twierdzą, że turystów rozszarpał niedźwiedź.

Pierwsze ciało znaleziono w okolicach Morskiego Oka na początku października. Nie upłynął tydzień, kiedy w rejonie Włosienicy napotkano na ciało kolejnego turysty. Do ostatniej śmierci doszło dwa dni temu.

– Wszystko wskazuje na to, że śmierci tych osób nie mają ze sobą nic wspólnego – informuje inspektor Włodzimierz Pietraszek, rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Zakopanem. – Doszło, jak to w górach, do nieszczęśliwych wypadków.

Tymczasem świadkowie, m.in. proszący o anonimowość ratownicy Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego zaznaczają, że ciała znalezionych amatorów gór zostały... rozszarpane. Podejrzewają, że mogło chodzić o niedźwiedzia.

– To niedorzeczne – ucina spekulacje Paweł Skawa, dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego. – Niedźwiedzie nie jedzą ludzi. Czasem co prawda dochodzi do poturbowania człowieka, nawet ze skutkiem śmiertelnym, jednak niedźwiedzie tatrzańskie ludzi nie rozszarpują. Po prostu im nie smakujemy, wolą jeść jagody.

Więcej informacji na temat tego, co stało się z turystami, przekazałoby zapewne członkowie rodzin zmarłych. Niestety, żaden z nich nie

chciał rozmawiać z naszym dziennikarzem. Zatem póki sprawa nie zostanie dokładnie wyjaśniona, lepiej w Tatrach uważać...

Jeremiasz wyjął swój notatnik, który zawsze nosił na wszelki wypadek przy sobie. Takie zboczenie zawodowe i zamięłowanie do czasów klasycznych. Poza tym nie ufał notatkowym aplikacjom w komórkach. Były... uzależnione od prądu. W notatniku czarnym piórem ze złotą stalówką zapisał kilka wyrazów: brak narodowości, rodzina, brak informacji, śledztwo, park?

Czarne pióro ze złotą stalówką też zawsze nosił ze sobą. Nie wpadł na to, że czarne pióra bywają uzależnione od atramentu. A o ten wszak trudniej niż o prąd.

Dopił piwo.

Przeklął pod nosem.

Cholerni niedopłaceni polscy dziennikarze. Sprawy poważne traktują po macoszemu. Pewnie muszą pisać po dziesięć tekstów dziennie, żeby cokolwiek zarobić. Nie dziwne, że nie mają czasu porządnie pisać. Ale o Tupolewach i tęczach to powstają elaboraty! Całe sagi bijące na głowę te skandynawskie. Ba! Nawet scenariusze wenezuelskich seriali z wyższych sfer.

No ale... jacy czytelnicy, takie i media...

Uciszył myśli i dla otuchy szepnął sam do siebie, ale tak, by nikt go nie słyszał:

– Dlatego właśnie tu jestem....

Poszedł do baru po drugie piwo.

Jak to się stało, że jej wcześniej nie zauważył?

Dziwne... przecież to ona musiała mu podać pierwszy zamówiony napój o szlachetnej barwie.

Ciemnowłosa, zgrabna, z sentymentalnym uśmiechem i ciemnopiwnymi oczami.

Dużymi oczami.

Oczami patrzącymi na niego.

Zaniemówił. Począł się w nie gapić.

A ona w niego.

A może tylko mu się tak zdawało?

– Jeszcze raz? – spytała, wybudzając go jakby z ni-to-pijackiej nostalgii przedupicia.

– Tak – odsapnął. – To samo proszę.

– Się robi – rzuciła rezolutnie i pewną, wprawną ręką chwyciła za nalewak z piwem.

Patrzył, jak nalewa złocisto-czarny płyn łamanego browaru do kufła. Wbił wzrok w jej skupione na kranie oczy i poczuł się dziwnie. Miłe uczucie – stwierdził w duchu.

– Jak masz na imię? – spytał nagle. Sam nie wiedział czemu, a że to zrobił, uświadomił sobie dopiero po tym, jak usłyszał zadane przez siebie pytanie.

– Agnieszka – rzekła, ciekawie na niego spoglądając. – A co?

– A bo to ładne imię. Dziękuję – szybko odparł i zabrał piwo. Uciekł do swojego stolika.

Poczuł się głupio.

Dlaczego uciekłem? – zastanawiał się. Zerknął za siebie, szukając dziewczyny za barem. Nie było nikogo. Agnieszka poszła na zaplecze.

Miłość od pierwszego wejrzenia?

Nieeee... na litość. Ot, doznanie estetyczno-ludzkie i tyle.

Sącząc piwo, bezmyślnie przeglądał strony internetowe. Dla odmiany poczuł się zmęczony. Od jutra rozpoczyna ciężką pracę. Nie przyjechał do Zakopanego na wakacje, tak jak to zwykle bywa, tak jak to czyni ogromna większość społeczeństwa. Jedna z najbardziej znanych miejscowości turystycznych najwyraźniej stała się areną działania niezłego

dowcipnisia. Bynajmniej nie kudłatego, który na zimę pójdzie spać. Jeśli za tymi wypadkami naprawdę stoi niedźwiedź, to jest to temat na niezły tekst, który się dobrze sprzeda na świecie. Ale jeszcze lepiej się sprzeda, jeśli – co podejrzewał Jeremiasz – ktoś na tragedii ludzi nadmuchuje niezłą kaczkę dziennikarską.

Jedno tylko nie dawało mu spokoju. Turystów, którzy w tym miesiącu zginęli na tatrzańskich szlakach, coś jeszcze łączyło. Wszyscy byli Polakami pracującymi na co dzień na Wyspach. Dlatego też jego londyńska redakcja wysłała do ojczyzny właśnie jego – szefowie zwietrzyli niezwykle materiał na dobry artykuł.